Nro 22.

# DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 19 października 1844. Rok piąty.

*Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.*

## MODY.

*Paryż, dnia 6 października 1844.*

**Stroje damskie.** Jeszcze dni kilka, a na wyścigach w Szantili pojawią się wszystkie te utwory najmodniejsze, które się teraz po rozmaitych wyrabiają pracowniach; nie wiele więc o nich mamy do powiedzenia. Podobnie do kwiatów których kielichy zamykają się przed powiewem jesieni, i staniki sukień, z tak bardzo otwartych jakiemi były dotąd, coraz więcej robią się zamknięte. Zawsze mocno przedłużone, haftowane, z małym kołnierzykiem i mniejszemi wyłogami przypominają cokolwiek stroje wieku Marii Stuart, i poważne mody dworu Franciszka I. Wprowadzeniu staników takich wiele mają do zarzucenia owe kołnierzyki w tysiączne arabeski tkane, któremi obsłaniano piersi, chociaż modniarki potrafiły zkorzystać z niewielkiego otworu stanika, i zapełniają go żabotami z korunek podwójnych i potrójnych, haftowanych w guście Ludwika XIII. Co się tycze płaszczyków zimowych mało o nich powiedzieć możemy, albowiem dotąd trwa jeszcze wiara w piękne dnie jesienne, dla których są mantylki jesienne, szerokie, wpółwatowane, z peleryną tyle wielką, by się na niej zmieściły dwa pasy rozmaicie garnirowane. Mantylki zaś takie, by były prawdziwie wytworne powinny być czarne, podszyte białą lub inną jaskrawą barwą. Wyrabianie kwiatów stucznych coraz się więcej doskonali; z pomiędzy mnogiej ich liczby wspomniemy o gałązce morwowej cudnej roboty, z owocem złożonym z małych pereł. A gdy mowa o kwiatach, dodamy jeszcze najwytworniejszy strój głowy z włosów samych, nazwany Polka, który dobrze ułożyć, należy do zadań najtrudniejszych perukarza. Strój ten ma kształt polskiej czapki ze zwyczajnem nawet Polakom skłonieniem na lewy bok. Nie możemy w końcu przemilczeć że szmuklerskie wyszywania coraz się więcej upowszechniają; ledwie nie równoważą używaniu korunek z któremi są w rzeczy samej w bliskim pokrewieństwie, i częstym współzawodnictwie. To też ledwie można zdybać strój bez wyszywania, a nawet żadna stroju część bez niego obejść się nie może. Z pomiędzy sukień jakie nas uderzyły pyszną była suknia z barežu siwawego, której spódnicę stroiły w pół wysokości wolanty układane w gierlandy a otoczone szlareczkami misternie fałdowanemi, które powtarzały się u rękawów wschodnich; a z pod tych wypływały muszlinowe podrękawy obszyte trzema rzędami korunek; stanik gładki, wzniesiony ku plecom i w kształt serca wycięty.

**Stroje męskie.** W strojach męskich małe postrzegać się dają odmiany, a jeżeli są jakie, widać w nich wahanie się między jesienią ledwie zaczętą a zimą spodziewaną. Ze wszystkich części stroju męskiego najwyszukańsze bywają kamizelki, co się tycze materii głównie kaszmirowych, a pomiędzy temi prym należy się kaszmirowi Mandarynowi, który się odznacza doborem barw zda się przeciwnych, a cudnie zbiegających się razem w szerokie kraty tu i owdzie przerywane siatką arabeskową lub kwiatkową. Strój stu nazwisk, ów Twed czy Twina, Taglioni czy Szesterfild, tak się upowszechnił, iż stał się strojem ku wygodzie tylko, i ku potrzebie służącym, strojem pospolitym. Miejsce jego zda się nam, zastąpi paletot w rodzaju greckim, albo raczej rodzaj płaszczyka małego, noszącego jakieś miano hiszpańskie; a będzie miał szerokość płaszcza, rękawy weneckie suto haftowane, podszewkę bogatą, w zupełnem będzie więc przeciwieństwie z skromną coraz niżej ze wszech względów upadającą Twiną.

Rycina przedstawia: suknię jedwabną; spódnica w bufki i sznurkami jedwabnemi ubrana, stanik

wysoki podobnież bufkami i sznurkami ubrany, rękawy otwarte z podktórych białe widzieć się dają, kapelusz jedwabny z gierlandą. Druga salopka kaszmirowa, sznurkami i frędzlami naszyta, kapotka ubrana kwiatami. Trzeci szlafroczek axamitny futrem obłożony; kapelusz z niestrzyżonego axamitu liściami ubrany. Tudzież paletot z długim stanem i frak do salonowego ubrania.

---

## UŚMIECH SZYDERCZY.

OBRAZ FANTASTYCZNY

PRZEZ

JÓZEFA DZIERZKOWSKIEGO.

*Dokończenie.*

### 4.

»Na co pytaniami rozraniasz serce moje, mówił nieznajomy dalej, gdym zapytaniem o dalszym losie jego przerwał długie milczenie; pytasz mnie jakie było dalsze życie moje?... W pierwszych dniach po ślubie żyłem podwójnie; i to było szczęście moje, że z początku mogłem całe życie moje gorączkowe pełne przeczuć i przewidzeń zostawiać za sobą, gdym wchodził do pokoju żony mojej. Nie zdybywałem ja i tam wesołości wiele, bo jej twarz dziwnie była smutna, tą bladością światła, które się przebija przez lampy alabastrowej przezroczystą powłokę drżące, niepewne i rzucające rozmaite cienia w koło siebie. A przecież tak mi było swobodnie koło niej, bo była dobra i słodka jak anioł dla mnie, i dla tego może właśnie najwięcej się do niej przywiązałem, że nigdy nie było na jej twarzy uśmiechu, którýby mi wnet przekręcił mój szatan prześladowca. W samotności nie mogłem się modlić; w jej zaś przytomności, choć się nie modliłem słowy, czułem że się modlę duszą; ona sama, schylona nieraz nademną, gdy oczy ku niebu podniosła, wyglądała jak pobożna modlitwa za spokój mojéj duszy.«

»Lecz nie długo to trwało!... czas leciał jak szalony, a był to czas, który chyżej biegł niżeli wasz parowym wozem toczący się naprzód. Zawyła rewolucyjna burza!... zaczęli się buntować nasi poddani, uciekaliśmy z zamków do miasta stołecznego naszej prowincii; tam było bezpieczniej, chociaż i tam szlachetne nazwiska uświetnione przodków krwią i sławą w szeregach ojczystych zdobytą były znienawidzone; po ulicach wyśmiewano stare imiona, stare zwyczaje, i starą wiarę. Był to czas, który olbrzym siłą, pędził naprzód burzy pędem, z szyderczym uśmiechem na potwornej twarzy. Uśmiech szyderczy był w tenczas w powietrzu, zewsząd mnie dolatywał, wszędzie się wyszczerzał; łyskawicą był téj burzy!... Mieliśmy częste schadzki nasze w domie jednego starca, który ostatni z sławnego rodu pozostał; u niego obmyślaliśmy środki ratowania się, w razie gwałtownej potrzeby. Mój umysł zaczynał się uspakajać; niebezpieczeństwa grożące ciału, wypędzały pomału tego szatana, który duszę dręczył. Ale krutkie dla mnie były zawsze chwile odpoczynku!...

»Późno raz w nocy wracałem z miejsca schadzek naszych; płaszczem owinięty goniłem do domu na skrzydłach zwykłéj tęsknoty, która mnie zawsze ciągnęła do Malwiny. Puste były ulice, skąpe świeciły lampy; kroki tylko moje własne odbijały się po bruku tak głucho, że się zdawały odbijać aż w głębi duszy mojej. Było toli przeczucie?... niewiem ale przyspieszyłem kroku. Drzwi domu mego stały otworem, skoczyłem na ciemne schody.... Zajaśniało, łysnęło tuż przedemną!... Słuchaj, i lituj się, jeżeli masz litość!... To uśmiech szyderczy łysnął przedemną!... Jak szalony rzuciłem rękami w koło siebie; nie było nikogo!... uśmiech łysnął, i znikł!... Niewiem jakim sposobem dobiegłem do pokoju żony mojej; leżała bez przytomności na środku pokoju, blada jak trup; myślałem że już nieżyje. Chciałem krzyczeć, głosu niebyło, chciałem się ruszyć, nogi mi wrosły w ziemię.«

»W tem z ulicy w ulicę rozchodzi się szmer, szeptający z początku, coraz głośniejszy, jakby zamruczały fale morza rozkołysane, coraz krzykliwszy, jak wicher, jak burza; gromy głosów szczególnych huczą, łyskają światła pochodni, pioruny strzałów wylatują. I przez okno naprzeciw którego stałem, zaczęło się rozwijać całe życie pogmatwane, jakby w śnie gorączkowem; chaos postaci, ruchów, świateł, krzyków i strzałów. Widziałem wszystko, lecz ciągle byłem nieruchomy. Krzyki się zbliżają, ze wszystkich ulic ku domowi memu, coraz donośniejsze i wyraźniejsze; z tysiącznych ułamków łączą się w jeden okrzyk szalony!... To był śmiech szyderczy!... To było pospólstwo, które naśladując stolicę podniesło bunt; to był owego czasu burzliwego śmiech szyderczy ze wszystkiego co było, śmiejący się na gruzach dawnego porządku, opluwający śliną urągania wszystko co wieki uświęciły. Byłato dla mnie chwila okropna! odwróciłem się od okna, Malwina leżała bez duszy u stóp moich...«

»Niewiem jak długo to trwało; obudziłem się w więzieniu. Zapewne przez długie wieki okropności naszych więzień podzamkowych składały się na więzienia w jakie wpychano wówczas arystokratów, jak

nas nazywano, ale przecie trudno mieć wyobrażenie nieludzkości z jaką się obchodzono z nami. Pamiętam tylko że było okropnie: szczegóły już zapomniałem, wszystkie bowiem udręczenia moje pełzły przed jednem nieustającem cierpieniem, a tem była niepewność o stanie żony mojej; kochałem ją zawsze, chociaż były chwile, w których dzięki zapewne temu uśmiechowi szyderczemu rozczarującemu wszystko w koło mnie, wątpiłem o jej wzajemności. Byłem w stanie obłąkania, celem urągania dozorców, którzy mnie warjatem okrzyczeli!... Ja warjat! ja który silniejszy od nich miałem umysł, bo wiedziałem czego oni niewiedzieli, widziałem całą ich przyszłość i moją w tym uśmiechu szyderczym, który przez dziwne losu zrządzenie był razem przeznaczeniem moim, i przeznaczeniem tej burzy towarzyskiej, w którą pomimo woli wplątany byłem. Stanąłem przed sędziami, jeżeli sędziami można nazwać ludzi co tam siedzieli, owinięci w jakieś płaszcze naśladujące Rzymian, którym przekrzywiały się ich twarze rozbójnicze krwi i złota chciwe.«

» — Kto jesteś?... zapytał mnie głos groźny prezydującego, który siedział w cieniu ubrany w togę czarną, jak ich sumienie sędziowskie.«

»Zadrzałem na ten głos, bo mi się zdawał znajomy; wytężyłem oczy naprzód, i... i... ujrzałem z głębi sali wyszczerzający się znajomy mi uśmiech szyderczy. Drzałem na całem ciele, oni zaśmiali się w głos, i zawołali na mnie: tchurz!...«

» — Tchurz! powtórzył głos znajomy. Jeszcze raz spojrzałem, znikł uśmiech okropny, i dostrzegłem rysy prezydującego; zdawały mi się znajome, przypominały mi sceny rozmaite dzieciństwa i młodości, sceny niepowrotne czasów wesołych.«

» — Śmierć! wrzasnęło koło mnie.«

» — Na gilotynę! powtórzył głos znajomy.«

»I byłem znowu w więzieniu. Rachubę dni straciłem, bo marzyłem ciągle; obrazy przeżyte w dziwacznym bezładzie krzyżowały się po głowie mojej. Światło łysnęło nademną; to była jasna i blada twarz żony mojej; jak najpiękniejsze marzenie pływała w powietrzu; ja myślałem że pryśnie jak bańka, jak złudzenie!... nie! to była żona moja!...

— Jesteś wolny! zagadła do mnie.

Porwałem się do niej by ucałować; zimna była jak lód; przycisnąłem do serca by wlać w nią choć część tego ognia co mnie trawił, i wyszliśmy. Cicho było i ciemno w około, powóz już stał gotowy; wychodząc przez otwarte drzwi więzienia, rzuciłem wzrok ostatni po za siebie, i... o przeklęte przeznaczenie, które mi zazdrościło każdej chwili swobodniejszej, ujrzałem... uśmiech szyderczy!... Jęknąłem boleśnie siadając do powozu, i w szalonym pędzie koni, w szalonej myśli gonitwie ledwie dosłyszałem co mówiła do mnie żona moja.«

»Nazwisko Germaniego uderzyło mnie. Germani był wybawcą moim; Germani był tym towarzyszem szkolnym, którego posądziłem o pierwszy uśmiech szyderczy przeznaczenia mego. Germani był to drugi syn owego kupca z sąsiedztwa mojego ojca, którego syn starszy uciekł z siostrą moją. Znałem Germaniego w dzieciństwie, znałem go w szkołach, lecz go nie lubiłem dla przyczyn zupełnie mi nie znanych, choć się do mnie jednego zawsze zbliżał najwięcej, choć ja w owym czasie miałem jeszcze serce i uczucia otwarte dla każdego: i ten sam Germani wyratował mnie. W tym zajaśniało w głowie mojej; Germani był prezydującym sądu!... Czy to on się śmiał wtenczas? pytałem sam siebie; a chciałbym wierzyć temu, bo radbym był złapać, ciało tego uśmiechu, by się na nim zemścić za katusze jakie znosiłem. Ale nie! ten uśmiech nie był człowieka; to był uśmiech złego ducha w którego moc wpadłem bez ratunku!... bo żona moja pozostała zimna i blada, pół żywa ruchem i mową powolną, a pół umarła nieruchomością twarzy i posępnym smutkiem, który jej anielską twarz przeciągnął okropnie jakby twarz trupa....

## 5.

Opowiadanie nieznajomego, coraz mnie więcej zajmywało, widziałem bowiem w tem jego szaleństwie, jakąś myśl jedną przewodniczącą, która dla mnie miała wzrok na poły tajemniczy, na poły znajomy. Żądałem rozwiązania, jak się żąda odkrycia tajemnicy, a przeczuwałem koniec jakby znajomy, jakby już dawniej myśl podobna rozrabiała się we mnie. Patrzałem na niego oczami pytającemi, by go zbudzić do dalszego opowiadania, lecz tą razą milczał uporczywie i dłużej jak zwykle, a oczy łyszczące tak dziwnym wypatrzył natężeniem, jakby niemi chciał sięgać po za widzialne nam obręby. Popatrzyłem za ich kierunkiem, i nic nie widziałem, prócz znajomych mi wiosek w dole; dwór ojca panny Eulalii bielał w półgóry przeciwnej, czerniał sadem, który klinem ciemniejszych drzew lipowych wpadał w jaśniejsze klomby brzozowe. I znowu na ścieżce, co po za sadem prowadziła do leszczyny labiryntem zdeptanej przez chłopców wiejskich pokazało się dwie postaci, lecz darmo śledziłem ich oczami; noc była ciemna, niebo chmurami osłonione, a xiężyc nad samym rankiem schodził dopiero. Zamarzyłem, i niemogąc sobie wy-

tłumaczyć powodu łamałem głowę nadtym, kto mogły być te dwie postacie tak co nocy przechadzające się po gaju. Wieśniacy za mało byli romantyczni, aby po między niemi szukać tych nocnych wędrowców; nie byli to... ale nie!... to nie złodzieje; nadto swobodne są ich ruchy, około jednego krążące miejsca, a nawet zdało mi się postrzedz jak się do siebie zbliżyli. Przeklęta noc! nie mogłem nic rozeznać, ale coś mi tak mignęło jak parę rąk jednej postaci zarzuconych na szyję drugiej.

»Zbudziłem się znowu; przerwał milczenie nieznajomy: zbudziłem się w obozie; byłem w Wandei między swemi. To był fatalizm tego uśmiechu szyderskiego który zawisł między mną i światem całym że nic mi się nie wydawało w własnej postaci, ale w przedrzeźnionej przez szyderczego szatana mojego. Chciałem się zagłuszyć, i rzuciłem się jak szalony w środek tej wojny pełnej epizodów okropnych. Okrzyczany zostałem za walecznego między walecznemi, i mianowany w krótce jednym z naczelników tej krwawej wojny; chciałem zabić rospacz która mnie trawiła, a więc zabijałem ludzi, goniąc bez ustanku za tą marą uśmiechu, ktora mi z nieprzyjacielskich szeregów tu i owdzie mrugała, nie z jednych ust konających przeklinała okropnie, wykrzywiała się tysiącznemi konwulsiami śmierci. Daremna gonitwa! tak mara, jak i nieprzyjaciele moi byli potworem stu głownym; rosły roje wojowników na każdym trupami zasłanym bojowisku, roje mar szkaradnych skakało wkoło mnie jak duchy piekielne szydzące z próżnej walki mojej.«

»Moja żona była ciągle ze mną, ciałem swoim zawsze cudownem, zawsze pięknem, choć zdało mi się nieraz, że jej dusza była daleko, i tylko stuczne jakieś ożywiało ją życie. Była cicha i spokojna jak dawniej, ni jęku nie dobywała z siebie, ni śmiechu, ale spojrzenia nie tak słodkie jak pierwej, nie mogły już mnie uspakajać; zimno i boleśnie padały na mnie jak promienie bez ciepła. I nic ją ożywić nie zdołało, nawet ta nadzieja tak święta dla kobiet, tyle uczuć mieszcząca w sobie; nadzieja zostania wkrótce matką, nie potrafiła zciągnąć z niej tej zasłony mglistej, którą coraz fantastyczniej osnuta, wydawała mi się czasem jedną marą więcej, dręczącą mnie.«

»Było to w nocy, która nastąpiła po dniu walki okropnej; co się nam rzadko trafiało zwyciężyliśmy, ale to zwycięstwo kosztowało nas tyle drogiej krwi, że spokój znużenia jaki po bitwie nastąpił, był podobniejszy do otrętwienia rospaczy, niżeli do odpoczynku zwycięskiego. W pustej chałupie, która cudem prawie pozostała cała wśród wioski dymiącej się jeszcze, leżałem na ziemi rozciągnięty, w pół senny, w pół obudzony. Swobodniej mi było niż kiedy, bo zmęczenie ciała przemogło niepokój duszy; obrazy wszystkie jakie się przesuwały przedemną straciły barwy jaskrawe; szarawa i niepewna kryła je po mroka. Cicho było w koło mnie, czasem tylko dolatywały głosy żołnierzy stojących na straży, ale i te głosy, czy tak było w istocie, czy tak mnie się zdawało wówczas, były drzące i głuche, jakby dalekie tylko echo, głosów dawnych silnych i męskich. Moja żona w drugiej izdebce chaty leżała cicho, snem zapewne spokojnym ujęta... Pamiętam tylko że jakaś siła budząca ciągnęła mnie bym do niej poszedł, i popatrzył na twarz anielską tej kobiety, którą z równą jak dawniej kochałem namiętnością powiększoną jeszcze przez jakąś bojaźń przeczuciową i przesądną, by ta mgła w koło niej zebrana, nie zakryła mi jej na zawsze.«

»Krzyk głośniejszy ozwał się koło chaty. Zbudziłem się; weszli żołnierze, i przyprowadzili człowieka, który korzystając z nocnych cieniów i znużenia żołnierzy wkradł się był do naszego obozu.«

» — To szpieg! rzekł oficer dowodzący strażą; którego przyprowadziliśmy do ciebie naczelniku!...«

»Zerwałem się pełen gniewu, i poskoczyłem ku stojącemu we drzwiach.... odskoczyłem przestraszony... łysnął uśmiech szyderczy!...

— Na twarzy szpiega? zawołałem.

» — Uśmiech szyderczy postrzegłem! powiadam ci ty zimny anatomisto, który uczucia moje jak członki trupa krajesz ciekawością swoją by się dokrajać prawdy. Uśmiech dobrze mi znany stanął widomie przedemną....«

»Zbliżyłem się z rodzajem radości do więźnia, bo i mnie się zdało w tej chwili, że ten uśmiech złowrogi na jego był twarzy; cieszyłem się że raz przecie mogę dotykalnie schwytać tę marę. Mimo więc przestrachu, który jeżył mi włosy, krzyknąłem.... Kto jesteś?...«

» — Germani! odpowiedział mi zimno.«

»Stanąłem jak wryty. Zostawcie nas samych! zawołałem; starszych oficerów zawołać na sąd wojenny, który się za półgodziny odbędzie.«

»Zostaliśmy sami. Śledziłem na jego twarzy młodej pięknej, i pełnej jakiegoś niezrozumianego dla mnie wyrazu, tego uśmiechu, który tylko co łysnął między nim a mną, lecz nadaremnie; twarz jego była poważna i smutna prawie. Więc ty jesteś Germani?...«

» — Czyliż nie poznałeś mnie?...«

» — Co robisz w obozie, pocoś tu przyszedł, jakie twe cele?... pytałem raz po razu.«

»Germani milczał uporczywie.«

» — Szpiegować przyszedłeś!...«

»Uśmiechnął się pogardliwie; ten uśmiech wprowadził mnie w wściekłość.«

» — Tak to ty Germani, który całe me życie trujesz, ty odpowiesz mi za ten uśmiech jadowity, którym mnie zabijasz pomału.«

» — Znowu chory jesteś Arturze! odpowiedział tak zimno, jakby kawałkami lodu posypał.«

» — Kłamiesz szpiegu!... ja zdrów jestem, i poznałem że ty Germani...«

» — Uratowałem twoje życie, na którego zniszczenie podpisać się musiałem jako naczelnik powstania w mieście...«

» — Uratowałeś mi życie, by się dłużej pastwić nademną; krzyczałem niepomny na wszystko; zacząłem biegać po pokoju a dziwna odbywała się we mnie walka, chciałem by zginął Germany, a z nim ten uśmiech szatański; i chciałem by żył i przyznaniem swojem uwolnił mnie od tej mimowolnej wiary w widomego szatana mego przeznaczenia. I zacząłem podle przyrzekać mu życie, byle mi się przyznał, choć w duszy wyrok śmierci był już podpisany.«

» — Ty się uśmiechałeś tak szyderczo na owym bańkiecie szkolnym; powiedz, a życie jest twoje.«

» — Ja się nie śmiałem z ciebie.«

» — Zaklinam cię Germany, klękam tu przed tobą i błagam, powiedz że to ty uśmiechałeś się w kościele...«

» — Ja się z ciebie nie śmiałem! była ciągła odpowiedź.«

» — Powiedz, bo cię każę męczyć, ćwiertować; pastwić się nad tobą będę, póki w tysiącznych twarzy twej skrzywieniach nie poznam tego szatańskiego rysu.«

»Umilkłem bo mi się zdało słyszeć jęk urwany, przytłumiony, bliski. Odwróciłem się ku pokojowi żony mojej. Cicho było, cicho jak w grobie.«

» — Jestem w twojej mocy, rób co chcesz!...«

» — Oddam ci cały mój majątek tylko powiedz!...«

» — Ty już niemasz majątku!...«

»Nie było szyderstwa w mowie, ale słowa zdawały mi się urągać, choć prawdę powiadały, cały bowiem mój majątek był zkonfiskowany. Wstrzymałem się jednakże, mimo złości i nienawiści jaka kipiała we mnie.«

» — To co mam w klejnotach, w gotowiźnie jest wiele, więcej, niż miałeś kiedykolwiek, oddam ci wszystko!...«

» — Ja niczego niepotrzebuję...«

» — Oddam ci wszystko, co tylko posiadam, co mam najdroższego, wszystko...«

» — Wszystko?... krzyknął głosem tak dzikim i nienaturalnym, aż się opamiętałem... Wzdrygnąłem się... ja w tej chwili byłbym mu oddał żonę... tego bladego anioła... Zacząłem zbierać rozpierzchnięte myśli moje, i zbliżyłem się do niego, i zawołałem porywając go za rękę.«

» — Germani zlituj się nademną, widzisz mój stan nieszczęśliwy, powiedz, odkryj, uspokoj mnie.«

» — Ja niemam nic do powiedzenia!... a po chwili milczenia dodał: Ja ciebie Arturze z serca żałuję... i ja nie jestem szczęśliwy!... o nic mnie więcej nie pytaj!... i zamilkł...«

»I na twarzy jego nie było uśmiechu, ale palił mnie okropnie w duszy.«

» — Więc zginiesz!...«

» — Zginę!...«

» — Już się zbliżają, jeszcze masz jedną chwilę Germani!...«

» — Czy myślisz Arturze, że będziesz spokojniejszy po mej śmierci... są nieszczęścia nie do wynadgrodzenia!...«

»Spojrzeliśmy raz jeszcze sobie oko w oko. Jego spokojność rozżarzyła jeszcze więcej moje uczucia, które wszystkie zlały się w chęć przyspieszenia jego śmierci... A jeżeli to nie on?... choć zagadało serce; to będzie jedna omyłka więcej, odpowiadał mój umysł pomieszany.«

»Zeszedł się sąd wojenny, srogi i bezlitośny...«

» — Kto jesteś? zapytano.«

» — Szpieg!... odpowiedział obojętnie.«

» — Śmierć szpiegowi! zawołano jednogłośnie.«

»Twarz Germaniego nie zmieniła się zupełnie; wyszli na mój rozkaz, by przygotować wszystko do rozstrzelania, a gdyśmy się znowu zostali sami, jeszcze raz prosiłem, zaklinałem i błagałem. Nadaremnie; Germani milczał, a gdy już przyszli po niego, zawołał z wyrazem tak rozrzewniającym, aż mi żal scisnął serce.«

» — Ja ciebie Arturze z serca żałuję... oby ci śmierć moja pomódz mogła!«

»Okropnie tajemniczy musiał to być człowiek, jeżeli na jednej twarzy mogły się pomieścić, ten dawniejszy uśmiech szyderczy, i ten wzrok wyższego politowania jakim mnie pożegnał. Zdawał się być mocno poruszony, porwał się za piersi, wyciągnął rękę i rzucił od siebie zwiędły spłowiały pączek róży; bądź zdrów Arturze! wyrzekł jeszcze, i wybiegł z pokoju. W tej chwili nie uważałem na wszystkie te ruchy, je-

dną zajęty myślą; chciałem być przytomny jego śmierci i śledzić twarz do ostatka.«

»— Bądź zdrów! powtórzył, gdy już stanął na miejscu z oczami niezawiązanemi, bo sam oto prosił usilnie. Piękna była twarz jego, spokojna i pełna zapału wyższego... Dym osłonił go przedemną; sześć strzałów wyleciało z hukiem, ale głośniej nad nie ozwał się jęk okropny z chaty. Zapomniałem o wszystkiem, i wskoczyłem do chaty naszej. Stary mój wierny sługa wyszedł naprzeciwko z dzieckiem nowo narodzonem na ręku... Malwina już nie żyła; w pół umarły przyskoczyłem do trupa... Uśmiech szyderczy łysnął przez twarz umarłą!... do piersi przyciskała rękę trzymającą zwiędły, spłowiały pączek róży, który Germani był rzucił od siebie...«

— Ha! to okropnie! krzyknąłem poruszony aż do głębi; nastało dlugie i ponure milczenie...

## 6.

»Widzisz zimny człowieku! krzyknął znowu nieznajomy; że szyderczy uśmiech przeznaczenia mego nie zgasł wraz z Germanim...«

»Przeciwnie mi się zdaje...«

» — Tobie bryło lodu północnego zdaje się to, co ci wygodniej jest pomyśleć.... Mara uśmiechu została na wieki!... jeżeli nie wierzysz jeszcze, powiem ci dalej, wszystko ci powiem!... drzyj jeżeli masz krew i żyły, drzyj, i słuchaj najokropniejszej sceny życia mojego.«

»Uciekłem z synem moim małym precz od trupa żony, od trupa Germaniego, od trupów współbraci, od tej Wandei, która była także trupem ogromnym potwornym. Miałem krewnych pomiędzy emigrantami, którzy się po ziemi waszej tułali. Do nich dostałem się. Za resztę wyratowanych pieniędzy kupiłem małą wioskę na szerokich stepach ukraińskich, gdzie pierwej mieszkałem nim się tu dostałem. I tam odosobniony od wszystkich poświęciłem się dziecku memu, a ciągłą pracą umysłową za pomocą której przysposabiałem się do wychowania mego syna, którego sam chciałem być nauczycielem, zabijałem pomału te wszystkie myśli ciemne których byłem ofiarą. I myślałem żem już ozdrowiał patrząc na te dziecko moje rosnące w oczach moich...«

»Lecz nie!... najstraszniejsze czekało na mnie!... Zamilkł na chwilę, a oczy jego coraz więcej obłąkania nabierające latały w koło; w tej chwili wzniósł się xiężyc po nad gaje zielone, i oblał jego twarz bladością fantastyczną. Stałem zdumiony i wierzyłem słowom jego.

»Słuchaj! syn mój, ostatnia moja nadzieja, i jedyna pociecha... zaczął mówić; zdzieciniałem z nim razem, cuda roiłem; słowa jego pieszczone któremi nasycić się nie mogłem, padały na umysł mój jak krople gojącego balsamu. To dziecko niewinne jak mnie swemi obtulało rączkami małemi, gdyby skrzydłami anioła, wnet pierzchały mary okropne jck sny gorączkowe; zapomniałem o przeszłości, która z daleka pojawiała mi się czasami jakby grobowa kaplica rodzicielska, osłoniona drzewami wkoło niej posadzonemi. Doszedł już do wieku pojęcia!... Tak! on był pojętny!... Ach!... tchu mi brakuje, dokończyć się boję... I kiedy postrzegłem że już pojął pierwsze nauki jakie mu dawałem, spojrzałem radośny w twarz dziecka mego, by na niej wyczytać odbicie własnych myśli moich!... i postrzegłem okropnie, jasno, uśmiech ten szyderczy, wyszczerzający się z twarzy dziecinnej... ten sam uśmiech tak dobrze mi znany!...«

»Uśmiech Germaniego? przerwałem nierozważnie.

» — Co?... co mówisz? krzyknął przeraźliwie, zębami zgrzytnął, przyskoczył do mnie, i obłąkane oczy swoje wcisnął z uwagą w twarz moją. I ty się śmiejesz, wyłudziwszy kłamliwemi słowy tajemnicę życia mego. Ha! i na twej twarzy, ten sam uśmiech przeznaczenia mego! uśmiech szyderczy! precz maro! precz!...« Zaśmiał się przeraźliwie, i umilkł....

Stałem przykuty do miejsca różnemi miotany uczuciami; i być może że nieznajomy postrzegł na mej twarzy uśmiech jaki złośliwy, bo własnie gdy skończył opowiadanie swoje ja spojrzałem mimowolnie na ścieżkę po której dwa cienia przechadzały się ciągle ... Xiężyc wzniósł się wyżej, i najczystsze swe na nich rzucił promienie... Patrzę... wytężam oczy!... To Eulalia przycisnęła najczulej do łona pana Sotera, pana Psotera, jak go niby przedrwiewając nazywała przedemną. Więc dla tego tak mnie odwracała od nocnych przechadzek!... Jasno mi się w glowie zrobiło, i podziękowałem przypadkowi, który mi zupełnie odsłonił pannę Eulalię codzień niebespieczniejszą dla mnie... ja byłem na męża dobry, więc kochanie i umizgi w dzień; pan Soter zaś na kochanka, więc nocne gaikowe miłostki. Wstyd mi się zrobiło, wstyd uczucia mego, wstyd że myśl o rumianej, spasionej nimfie parowej mogła mnie na chwilę oderwać od dramatu tak okropnego, który się żywo przesuwał przedemną słowami biednego obłąkanego wskrzeszony. Odwróciłem się ku nieznajomemu; już go nie było.... Żal uczułem szczery, żem się mimowolnie do jego cierpień przyłożył; byłbym go chętnie przeprosił.

Wróciłem do domu, resztę nocy przemarzyłem... nie o Eulalii, ale o tym biednym starcu dręczonym

marą wyobraźni, której, urojone obrazy, tak się pogmatwały z obrazami jego życia, iż trudno było rozpoznać od złudzenia prawdę, która jak słońce przez mgły gęste przebijała się cieniami fantastycznemi.

Niespokojnością wiedziony, nieodpowiadając ani słowa na czułe panny Eulalii zalecanki, pobiegłem wcześniej niż zwykle drogą na smętarz wiodącą. Cicho było i spokojnie w koło mnie; obudził mnie nagle z marzeń smutny głos dzwónka kościelnego, odzywający się powoli i żałobnie... Przeczucie zabolało mnie w piersi... Wbiegłem na smętarz... jeszcze nie było nieznajomego... we trzy dni dopiero przyniesiono trumnę z jego zwłokami, nad któremi płakał staruszek jakiś... to był zapewne jego wierny sługa. Długo stałem nad trumną w której umilkły na zawsze wszystkie dzikie głosy namiętności, odegrawszy okropną fantazię szaleńca!... Od starego sługi nic sie więcej dowiedzieć nie mogłem... nieszczęśliwy! stan zmarłego pana, chował święcie jak tajemnicę...

Pożegnałem jar podolski co prędzej; a pannę Eulalię która chciała koniecznie odegrać rolę heroiczną, pożegnałem uśmiechem szyderczym. Ależbo mnie ledwie diabli nie brali że śmiała przenieść brzydkiego i głupiego Sotera, nademnie oczewiście pięknego i mądrego...

---

## Dumanie wieczorne.

Czemuż mi tak tęskno w duszy
I tak pusto, jakby w zimie;
Czy chwast cierpień życie głuszy,
Czy w letargu serce drzymie?
Czemuż z drogich mi pamiątek
Lat dziecinnych, z uczuć kwiatu,
Popiołowy tylko szczątek
Na igraszkę został światu;
I ten błogi spokój życia,
Co jak gwiazda od powicia
Nad dziecięcia jaśniał czołem,
Czem uleciał z wiosną społem?

Czemu? pytasz piewco młody:
Sam się uderz w piersi winne;
Na co zachcieć ci swobody,
I zamarzyć życie inne,
Życie święte — niezbrudzone,
Nieśmiertelne — uwieńczone?
Na co było w snach zwodniczych
Szukać prawdy i natchnienia,
I w nadziejach tajemniczych
Czekać świata odrodzenia?
Naco? naco w noc majową,
Pod xiężyca śrebrnem okiem,
Z obciężoną smutkiem głową,
Samotniczym błądzić krokiem,
Między groby i zwaliska,
Między mogił koczowiska,
I mogilne kwiaty zrywać,
Cieniom ojców śpiewać?!...

Naco czekać, aż z dziewicy
Oczu szczęście ci zadnieje,
I miłości, czarownicy,
Zwierzać lutnię i nadzieje?...

Lepiej było młody bracie,
Lepiej stokroć to co boli
Śmiechem zatrzeć, i po stracie
Łez nie ronić; ni w niedoli
Za to ciężkie brzemie życia,
Bogom sarkać na podziękę;
I bliźniego srogą rękę,
Nie wyklinać gdzieś z ukrycia!...
Lepiej było przyjacielu,
Trupa sercem i źrenicą,
Co nie sprzyja, nie zazdrości.
Patrzeć na ten świat szalony,
Życie nędzne i bez celu,
Na codzienne łez strumienie,
Na codziennych trosk zagony!
Na trumnę ludzkości!...

Bo czyż kiedy nam rozświecą
Nowe zorze smutków cienie,
I w zamarłej piersi wzniecą
Nowego zycia płomienie?...

*Fr. Wal......*

---

## TEATR.

Długo oczekiwane wystąpienie panny Ceneckiej na scenie polskiej było zjawiskiem tyle ważnem dla naszego teatru, iż nie możemy o niem przemilczeć. Dawno już czuć się nam dawała potrzeba kobiety artystki do wszystkich ról wyższych często zle obsadzanych; a sądząc po rolach dotąd odegranych przez p. Cenecką, zda się nam, że na ten brak utyskiwać więcej nie będziemy, jeżeli czego mocno sobie życzemy, zostanie między nami. Sąd nasz zapewne musi bydź dotąd ogólny, nie można bowiem żądać nawet, aby po raz pierwszy występująca artystka wytrzymała zwycięsko rozbior szczegółowy. Panna Cenecka nie dała nawet nam czasu do zimnego rozbioru, takim od razu przejęła nas zapałem, tą swoją śmiałością, szczególną w każdym występującym po raz pierwszy na scenę, a tym więcej w kobiecie. Śmiałość taka w osobie wychowanej w skromnem zaciszu domowem, jest niezawodnie zwiastunką siły wewnętrznej, która wystarczy na wyrobienie tych wszystkich odcieni koniecznych do odbicia talentu w całej jego jasności. Jestto siła uczuć wewnętrznych nie styranych jeszcze życiem zewnętrznem, niepokalanych życiem zakulisowem; z niej dobyty głos, nią poruszona mimika mieścić mogą więcej prawdy, choćby mniej miały zwyczajem uświęconej rutynowej zgrabności. I dla tego nie pomni na drobne usterki chętnie witamy w p. Ceneckiej piękną nadzieję dla naszego teatru. Ma wszystko po temu; prócz wykształcenia umysłowego staranniejszego od zwykłych

niewieścich, ma organ silny mniej może skłonny do niewieściej rzewności, ale za to tem zdatniejszy do oddania uczuć pełnych i silnych; a może nawet brak miękkości głosu pochodzi z nieogrania tego najwymowniejszego instrumentu, głosu człowieczego, który czy na scenie życia, czy na scenie teatru, musi się ograć koniecznie tysiącznemi uczuciami żalu i nadziei, łzów i wesela, rospaczy i natchnienia, zanim się wyrobi do tej giętkości z jaką wielka artystka przechodząc z uczucia w uczucie jakby z tonu w ton słuchaczów zachwyca lub rozczula: ma postawę wyniosłę i zgrabnę, twarz pełną wyrazu i dość obszerną by się na niej mieściły ślady walki wewnętrznej; ma nareszcie oczy ożywione uczuciem. Deklamacia jej nawet jakkolwiek tu i owdzie tchnęła jeszcze doskonale wyuczoną szkołą, była często, osobliwie gdy się sama zapomniała tak dobitna, jakby płynęła, że się tak wyraziemy z serdecznego zrozumienia roli. Tu się nam sama nastręcza uwaga, że jakkolwiek ta szkoła była wyśmienita, doskonale zrozumiana, przecież nie powinna się p. **Cenecka** ślepo jej trzymać, jeno własną siłą kształcić się na posadzie tej pierwszej nauki jak się kształcą uczniowie nieraz wyżsi od nauczycieli swoich. Takie ślepe trzymanie się, konieczne z początku, musi z czasem przejść w naśladownictwo; a starato już i dobra powiada gadka, że najlepsza kopia jest tylko kopią. Kopia nawet **Madonny Rafaela** będzie kopią tylko. Samodzielność jest piętnem wyższego talentu, który nie jest zapewne **Jeniuszem** tworząeym nowe prawidła, ale i nie rzemieślnikiem krającym koniecznie na miarę majstra. Chcielibysmy by te słowa nie były fałszywie zrozumiane, i dla tego dodamy mówiąc o pierwszej nauce p. **Ceneckiej** że poznaliśmy od razu dzielnego mistrza, a taki, daleki od zarozumiałości, i drobnej zazdrości, chętnie błogosławi uczniowi w dalszą choćby i wyższą drogę.

Panna **Cenecka** występywała po raz pierwszy w **Dziewicy Orleańskiej Szyllera**, i w **Hajdamakach na Ukrainie**. Wielu tego było zdania że lepiej było lekszą jakę sztukę wybrać na pierwsze wystąpienie. Nie zaprzeczamy że ta sztuka jest poniekąd trudna co do ogólnego oddania **dziewicy** tak, jak ją utworzył poeta; wielkie nawet pytanie, ażali poeta chciał nam wystawić bohaterkę, na poły mężczyznę, jak nam ją zwykle oddają, czy tylko kobietę zwyczajną widzeniami wyższemi natchnioną, które przemawiają przez nią, działają i wojują. A jeżeli tak jest, wszelkie silenie się na postawę dzielną, ruchy męskie, głos zgrubiały nie wypływa z samej roli, ale z dowolnego jej tłumaczenia; więcej może potrzeba rzewności w chwilach zwyczajnych, a mniej żołnierskości w chwilach natchnionych. Dla tego rola ta jest trudna, bo to przejście z niewiasty prostej w natchnioną by oddać, łatwiej przyjdzie polecie, rzucając słowa w serca czytelników do dalszego rozrobienia się, niżeli aktorce, by cała postać wydęta natchnieniem poety stanęła widomie przed oczami słuchaczów. Ale z drugiej strony nie bez myśli głębszej może zrobiono ten wybór. Rola **dziewicy** jest jednostajna prawie z początku do końca; raz zchwytany rodzaj deklamacii przydatny do niej, wystarczy od pierwszego do ostatniego aktu. Bo nie w silnej i wyrazistej deklamacii największa jest trudność, ale w tych przemianach uczuciowych przeskakujących czy raptem czy powoli z jednej ostateczności w drugę, w tej burzy walczących namiętności, którą raz po razu innym głosem, inną twarzą, i innym wzrokiem oddać potrzeba. I dla tego właśnie p. **Cenecka** większe sprawiła wrażenie w **Dziewicy Orleańskiej** niżeli w **Helenie**, której rola chociaż o tyle niższa od tamtej we względzie wartości poetycznej i dramatycznej, jest przecie trudniejsza dla poczynającej artystki. Tam było dosyć deklamacii, tu trzeba było gry. Mimo tego niechcąc zdatności p. **Ceneckiej** mierzyć na liczbę oklasków, szczyrze powiemy, że i w tej ostatniej roli przekonaliśmy się jeszcze więcej o istotnym tej talencie, osobliwie w trzecim akcie, gdzie porzuciwszy nieśmiałość szkolnę, przemówiła kilką ruchami żywemi prawdą i zwrotami głosu z serca pochodzącemi, które zatarły z pamięci zbyteczną tkliwość w pierwszym akcie, nienaturalną w **Helenie**, dziewczynie wychowanej na starym zamku w wieku minionym między modlitwą i kądzielą. Postawa p. **Ceneckiej** w trzecim akcie po zabiciu **Horejki** była tak plastycznie piękna i prawdopodobna, że ledwie by jej żałować nie należało do takiego dramatu. Kto tak zaczął jak p. **Cenecka**, ten daleko zajść może, daleko zajść powinien, przy nieustających chęciach i szczerej pracy, której i brylant poddać się musi zanim z bryły nieforemnej cudnym zajaśnieje blaskiem. Tego się po niej spodziewamy, tego dla niej i dla siebie życzemy.

---

*Redaktor* TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.